

BPJR 1000 CII 473



Redakcja „Przeglądu Zachodniego” — pragnąc upamiętnić przypadającą w grudniu 1990 r. dwudziestą rocznicę podpisania w Warszawie Układu o normalizacji wzajemnych stosunków między Polską a Republiką Federalną Niemiec — zwróciła się do kilku znawców problematyki niemcoznawczej z prośbą o napisanie krótkich refleksji związanych z tym wydarzeniem.

Spodziewaliśmy się tekstów przypominających klimat polityczny ówczesnej Europy, zarysowujących oczekiwania i nadzieje umawiających się stron oraz bilansujących realizację podjętych zobowiązań.

Niżej publikujemy nadesłane wypowiedzi dwóch autorów zachodni-niemieckich i dwóch polskich.

Redakcja

DR PETER BENDER

Dr filozofii, dziennikarz i publicysta. Zwolennik polityki wschodniej rządu Brandta/Scheela. Znaczący polityk państw Układu Warszawskiego. W latach 1963 - 1974 korespondent radia ARD w Warszawie.

Sz
k

Dzieje granicy na Odrze i Nysie są historią jej stopniowego uznawania. W latach czterdziestych wszyscy Niemcy byli przeciwni traktowaniu jej jako granicy ostatecznej; również prominentni komuniści w sowieckiej strefie okupacyjnej z naciskiem wyrażali swój sprzeciw. Kiedy jednak utworzono NRD, została ona zmuszona przez Moskwę do potwierdzenia linii Odry—Nysy jako polskiej granicy zachodniej we wszystkich formach. Układ Zgorzelecki, pierwszy etap uznania granicy, nastąpił zbyt wcześnie; pięć lat po wojnie i wypędzeniu większość Niemców nie mogła pogodzić się z „amputacją” całego niemieckiego Wschodu. Układ mógł być przeprowadzony i utrzymany tylko wbrew narodowi — zapewne zaoszczędził on wypędzonym w NRD iluzji, które zostały sztucznie wzbudzone wśród ich towarzyszy niedoli na Zachodzie.

W Republice Federalnej Niemiec w latach pięćdziesiątych o zaakcep-



towaniu granicy mówiono tylko nieoficjalnie. Publicznie minister spraw zagranicznych Heinrich von Brentano mówił o „pełnym przeprowadzeniu naszych roszczeń prawnych na niemieckich obszarach wschodnich”; poufnie powiedział w 1958 r. do katolickiego posła na sejm Stanisława Stommy, z którym spotkał się potajemnie: Także on wie, że Polska pozostanie w granicach, w których się znajduje, ale nie może on przeskoczyć swojego cienia i długo będzie trwało, nim Niemcy pogodzą się z tymi granicami. Także Konrad Adenauer, który już w 1955 r. zwierzył się przewodniczącemu SPD Erichowi Ollenhauerowi: „Odra—Nysa, obszary wschodnie itd., one już odpadły! To już nie istnieje! Ktoś musi to wytargować, ale to już nie będę ja”.

Również w latach sześćdziesiątych granica pozostawała nieomal powodem politycznego krzywoprzysięstwa wszystkich partii. Kiedy Willy Brandt mówił w marcu 1968 r. o „uznaniu względnie respektowaniu”, zapanowało ogólne oburzenie — wprawdzie nie wszędzie: między myślącymi rozsądnie we wszystkich kręgach społeczeństwa już dawno rozpow szechnił się pogląd, że niemieckie prowincje wschodnie są stracone na zawsze. Przez całe dziesięciolecie trwała debata, w której realiści stawali się coraz silniejsi, a rewizjoniści coraz słabsi. Cezurę stworzyło *Memorandum Wschodnie (Ost-Denkschrift)* Kościoła ewangelickiego (EKD) z października 1965 r. Wprawdzie autorzy zrezygnowali z zalecenia w sprawie granicy, ale doradzali je. Opisali los Polaków jak i Niemców oraz uhonorowali ból Niemców po straconej ojczyźnie, jak i polskie obawy o nową ojczyznę. Decydującym było to, że wypowiedział się w tej sprawie autorytet; to co dotąd graniczyło prawie ze zdradą stanu, stało się dzięki apelowi Kościoła godne rozważenia, a nawet godne szacunku. Bez przygotowania opinii publicznej w latach sześćdziesiątych polityka lat siedemdziesiątych nie byłaby możliwa.

7 grudnia 1970 r. kanclerz federalny Brandt i minister spraw zagranicznych Scheel podpisali Układ Warszawski, na mocy którego również Republika Federalna Niemiec potwierdziła nienaruszalność polskiej granicy zachodniej i zrezygnowała z roszczeń terytorialnych także w przyszłości. Był to drugi etap uznania granicy, nastąpił jednak zbyt późno. Więcej odwagi i mniej partyjnego egoizmu umożliwiłyby już wcześniej decydujący krok — sens „wielkiej koalicji” CDU/CSU i SPD w 1966 r. leżał we wspólnym rozwiązywaniu problemów, których żadna z partii sama podjąć nie odważyłaby się.

Jednak także i teraz CDU i CSU nie mogły „przeskoczyć swego cienia”, a w 1969 r. „mała koalicja” złożona z SPD i FDP musiała wziąć na siebie cały ciężar odpowiedzialności. Tylko najwyższym wysiłkiem udało się doprowadzić do ratyfikacji Układu i potwierdzenia granicy przez parlament — jego wartość polegała na tym, że nie nakazało go wielkie mo-

carstwo, a Niemcy sami utorowali sobie doń drogę. Wybory do *Bundestagu* w grudniu 1972 r. stały się pośrednio referendum nad *Ostpolitik* Brandta — koalicja socjalliberalna wygrała zdecydowanie.

Chociaż Republika Federalna Niemiec uznała granice, a większość obywateli poparła podpisanie Układu, to mimo to granica pozostawała problemem jeszcze przez dwadzieścia lat. Przyczyna leżała tylko pozornie w tym, że Układ Warszawski obowiązywał jedynie Republikę Federalną Niemiec, ponieważ Cztery Mocarstwa zachowały jeszcze ostatnie słowo we wszystkim co dotyczyło „Niemiec jako całości”. W 1970 r. bowiem zamiarem rządu federalnego, na czym polegał sens Układu, było zakończenie sprawy i potwierdzenie granicy na przyszłość — gdyby tak nie było, rząd polski nie podpisałby go. Jednak granica pozostała problemem, ponieważ *CDU* i *CSU* nie chciały uznać jej za ostateczną i posługiwały się stanem prawnym jako pretekstem.

Wpierw przeforsowały one orzeczenie *Bundestagu*, a później dwa wyroku Trybunału Konstytucyjnego, które zrelatywizowały Układ prawnie i czasowo. Po dewaluacji Układu nastąpiło jego przewartościowanie. Z rzeczy formalnie podrzędnej (Układ jest ważny tylko na czas istnienia Republiki Federalnej) działacze wypędzonych i politycy unii uczynili stopniowo politycznie kwestię najważniejszą. To niepotwierdzenie granicy, lecz prawne ograniczenie Układu ukazało się jako jego właściwy sens. Pozwalało to łatwo wyciągnąć wniosek: Tak długo, jak układ pokojowy nie postanowi inaczej, Śląsk należy do Niemiec. Z tego można było natomiast bez trudu wywnioskować, że „kwestia niemiecka” obejmuje nie tylko terytorium Republiki Federalnej i NRD, lecz także obszary na wschód od Odry i Nysy.

CDU, a jeszcze bardziej *CSU* odwróciły zupełnie sens Układu Warszawskiego. Rozsądne siły w obu partiach nadaremnie próbowały zapobiec jego wypaczeniu. Organizacja młodzieżowa *CDU* nalegała na ostateczną wypowiedź w kwestii granicy, a specjalista od spraw polityki zagranicznej Volker Rühle mówił o „mocy wiążącej”, która wynika z Układu Warszawskiego dla późniejszego ogólnoniemieckiego suwerena — sam kanclerz zmusił obu oponentów do milczenia i konsekwentnie zwracał uwagę, by kwestia granic pozostawała niejasna. „Nie dążymy do wysuwania roszczeń terytorialnych, ale zachowujemy prawnomiędzynarodową sytuację wyjściową” — formuła byłego ministra obrony Ruperta Scholza dawała każdemu to, co potrzebował: dla niemieckich i polskich krytyków miała znaczenie pierwsza część zdania: przestrzegamy warunków Układu i nie żądamy polskich ziem. Dla czarno-biało-czerwonych w partiach unii i poza nimi znaczenie miało wabiące zapewnienie drugiej połowy zdania: pozostajemy przy granicach z 1937 r.

W rocznicę niemieckiej napaści na Polskę stanowisko to stało się szcze-

gólnie drażliwe, dlatego raz jeszcze rząd federalny potwierdził je w sposób udokumentowany. Minister finansów Waigel rozszerzył znowu „kwestię niemiecką” wyraźnie na byłe prowincje wschodnie, a kanclerz zwlekał tak długo ze swoją przewidzianą na 1989 r. podróżą do Polski, aż ani on, ani prezydent federalny von Weizsäcker nie mogli być w Polsce 1 września 1989 r. Stosowny gest pojednania nie doszedł do skutku także dlatego, że nie wypowiedziano się jasno w sprawie granicy. Prezydent federalny musiał zadowolić się przesłaniem do prezydenta Jaruzelskiego.

Kiedy pod koniec 1989 r. zarysowała się możliwość zjednoczenia Republiki Federalnej i NRD, Kohl pozostał przy swoich dwuznacznościach. Nigdy przedtem nie było bardziej ważne stwierdzenie, że narodowe pragnienia i cele Niemców ograniczają się do obszaru między Odrą i Renem, cała Europa czekała na jedno słowo z Bonn, kilka europejskich rządów dopominało się tego publicznie, ale kanclerz nie wykonał żadnego ruchu. Wprawdzie nie było już możliwości uniku i również partie unii musiałyby uznać granice bez zastrzeżeń i wybiegów, ale Kohl czekał, aż proces zjednoczenia z NRD zaszedł tak daleko, że mógł powiedzieć: Ze względu na jedność musimy przyjąć granicę; dostaniemy NRD tylko wtedy, jeśli zrezygnujemy z obszarów wschodnich.

Bez wątpienia Kohl wiedział, że granicy nie da się zmienić i nie chciał ani nie chce jej wcale zmieniać; byłoby absurdem przypisywać Kohlowi rewizjonistyczne cele. Kohl podobnie jak Adenauer, bynajmniej nie myśli o Wschodzie. Już Saksonia, Brandenburgia i Meklemburgia są mu obce, Prusy Wschodnie, Pomorze i Śląsk znajdują się poza jego horyzontem myślowym; kanclerz jest z wychowania i przekonania Niemcem Zachodnim i obywatelem Europy Zachodniej. Granica na Odrze i Nysie pozostała dla niego zawsze kwestią polityki wewnętrznej. Ponadto zaakceptowanie granicy kryło w sobie niebezpieczeństwo utraty wyborców na prawym skrzydle; troska o to rosła, gdy nacjonalistyczni „republikanie” osiągnęli kilka sukcesów, a im unia nie chciała pozostawić problemu granicy na Odrze i Nysie do politycznych rozgrywek.

Kanclerz federalny Brandt ryzykował swego czasu istnieniem rządu, by przeforsować układy wschodnie; kanclerz federalny Kohl nawet nie ryzykował utratą dwu do trzech procent głosów wyborców. Podjął on najwygodniejszą drogę: w polityce zagranicznej powołał się na Układ Warszawski, a w polityce wewnętrznej kwestionował go tak długo, dopóki mógł to czynić przy minimum szkód dla swojej partii. Tak więc w 1991 r. osiągnięty zostanie trzeci etap uznania. Formalnie potwierdzenie granicy nastąpi ze strony nowych zjednoczonych Niemiec, ale w sensie politycznym przyszły układ oznacza jedynie tyle, że także CDU i CSU zaakceptują to, co wszyscy inni uznali już przed dwudziestu laty. Jeśli hi-

storycy zapytają później, kto zmusił Niemców po wojnie wywołanej przez Hitlera do zrozumienia konieczności uznania obecnej granicy, wymienia Brandta, a nie Kohla.

Różnice dadzą się wytłumaczyć, jeśli przypomnimy, że cała niemiecka polityka wobec Polski jest uwarunkowana także historycznie. Tam, gdzie przeszłość tak silnie ciąży nad wszystkim, jeszcze bardziej niż niegdyś jest ważne, w jakim duchu działają ludzie odpowiedzialni za losy narodów. Nie było przypadkiem, pomijając handel, że po obu stronach pierwszy krok uczyniły Kościoły — Kościoły ewangelickie ze swoim *Memorandum Wschodnim* oraz biskupi katolicycy w Polsce z listem do swoich niemieckich współbraci, w którym znajdowało się ważne zdanie: „Udzielamy przebaczenia i prosimy o przebaczenie”. Ale stosowna odpowiedź nie nadeszła ani od niemieckiego episkopatu, ani od CDU/CSU.

Ku wielkiemu zmartwieniu polskich katolików, a także obecnego premiera Mazowieckiego, umknęła szansa na zachodnioniemiecko-polskie pojednanie. Niemiecy socjaldemokraci wiedzieli, że „budowa pomostów” z Polską wymaga nie tylko działań politycznych, lecz również symbolu. Tak więc dzień 7 grudnia był nie tylko dniem podpisania Układu Warszawskiego, lecz także dniem, w którym Willy Brandt ukląkł przed pomnikiem w byłym getcie. Poprzez Układ Republika Federalna pogodziła się z tym, że Niemcy przegrali II wojnę światową i muszą ponieść konsekwencje. Poprzez ukłonienie Brandt potwierdził, że to Niemcy zaczęły wojnę, a poprzez politykę wyniszczenia i zniewolenia Żydów i Polaków obarczyły się bezprzykładną winą w najnowszej historii Europy.

Kiedy w 1982 r. w Bonn partie unii przejęły rządy, powstała nowa symbolika; wynikała ona z historycznego myślenia konserwatystów. Obowiązkiem składających wizyty państwowe w Polsce stało się odwiedzanie grobu niemieckiego żołnierza w Warszawie, o którym wcześniej nawet nie miano pewności, czy w ogóle istnieje. Już nie pragnienie pojednania, lecz wola realizacji narodowych ambicji określała gesty i logikę postępowania rządu chrześcijańskiej demokracji.

Wnioskować z tego o „rewanżymie” byłoby niesłuszne. Słabość całej zachodnioniemieckiej polityki wobec Polski nie leżała w *Drag nach Osten*, jak niektórzy Polacy wciąż jeszcze podejrzewają, lecz w obojętności wobec Wschodu. Niemcy spoglądają ku Zachodowi, aż ku Ameryce; Wschód interesuje ich mało. A jeśli tak było, to pierwszeństwo miały niemiecka NRD i mocarstwowy Związek Radziecki. Tylko nieliczni politycy w Bonn wiedzieli, że niemiecka *Ostpolitik* uprawiana przeciw lub choćby bez Polski nie prowadzi daleko. W latach siedemdziesiątych było coraz mniej tych, którzy o tym wiedzieli — „polskie lobby” wszystkich partii topniało.

Wielkie znaczenie miały także wewnętrzne przemiany w Polsce. Bońscy socjaldemokraci z polskimi komunistami utorowali drogę ku porozu-

mieniu. Brandt w Gomułce, a Helmut Schmidt w Gierku znaleźli partnera, z którym można było wykonać trudne zadanie. Innych partnerów nie było; kto chciał zawierać układy na korzyść obu narodów, musiał wynegocjować je z tymi, którzy rządili. Niemieccy socjaldemokraci przyzwyczaili się więc do swego komunistycznego *vis-à-vis* i ulegli w latach siedemdziesiątych tej samej pomyłce co cały Zachód: przeceniali oni potęgę Związku Radzieckiego i kierownictw partyjnych od Berlina Wschodniego do Sofii. Że ruch taki jak „Solidarność” mógł się utrzymać, a w końcu nawet zostać uznany, wydawało się po wszystkich doświadczeniach wykluczone. Ogłoszenie stanu wojennego w grudniu 1981 r. uważano za zarówno godne pożałowania jak i nieuniknione: Niemcom z NRD w 1953 r., Węgrom w 1956 r., oraz Czechom i Słowakom w 1968 r. nie powiodło się również; w porównaniu polska „wojna” była nawet łagodniejsza niż brutalności interwencji we wcześniejszych dziesięcioleciach.

Po Afganistanie stosunki Wschód-Zachód pogarszały się w sposób budzący niepokój, druga „zimna wojna” zdawała się rozwijać, a Polska stanu wojennego służyła Ronaldowi Reaganowi jako koziół ofiarny dla Związku Radzieckiego. Niemieccy socjaldemokraci próbowali więc ratować z europejskiego odprężenia to, co możliwe. Utrzymywali więc stosunki z rządzącymi w Warszawie i ignorowali opozycję — czasami dochodziło do przykrych scen. Właśnie od lewicowej partii prześladowana „Solidarność” oczekiwała solidarności. Czuli, że historycznie ma rację i ostatecznie tak było. Bez niej Polska nie mogła być dłużej rządzona i wkrótce sama utworzyła rząd. Niemiecka socjaldemokracja, niegdyś niemiecka nadzieja Polaków, straciła swe wielkie uznanie.

CDU i CSU nie były związane z warszawskim kierownictwem partyjnym wspólnymi dokonaniem, a do 1982 r. jako partie opozycyjne wolne były także od odpowiedzialności państwowej. Mogły potępić stan wojenny bez wahania, ich prawe skrzydła uzyskały nawet możliwość, by roszczeniom narodowym nadać antykomunistyczną oprawę. Nie musiano tak bardzo liczyć się z Jaruzelskim, „pomocnikiem Moskwy”, jak z Gierkiem, którego Helmut Schmidt przyjąłby nawet do swojego gabinetu. Po części z przekonania, po części z uwagi na zachodnioeuropejskich sojuszników rząd CDU dysponował surowym protokołem dla oficjalnych wizyt w Warszawie. Hołd musiał być złożony nie tylko przed grobem żołnierza niemieckiego, lecz także przed grobem księdza Popiełuszki, którego zamordowały tajne służby. Ostatecznie część CDU mogła nawiązać porozumienie z częścią „Solidarności” na płaszczyźnie katolicyzmu.

Powstała zatem osobliwa sytuacja. Ojcowie Układu Warszawskiego i konsekwentni adwokaci niemiecko-polskiego porozumienia natrafili w Warszawie na powściągliwość, ponieważ nowi regenci jeszcze nie całkiem zapomnieli im wcześniejsze lekceważenie. Przeciwnicy Układu War-

szawskiego, którzy dwa dziesięciolecia zakłócali stosunki niemiecko-polskie, są traktowani z nieufnością, ale ciągną zyski z irytacji wobec *SPD*. Obie wielkie partie muszą przewycięzać zastrzeżenia. Pomiędzy *CDU* i *SPD* znajduje się Hans-Dietrich Genscher, który rzetelnie i nie bez sukcesu starał się uratować efekty zbliżenia z lat siedemdziesiątych, by można było je wykorzystać dla porozumienia w latach dziewięćdziesiątych. Rzadko tylko jedna strona jest winna, gdy nie funkcjonują stosunki między dwoma państwami. Tak, jak wielu Niemców ledwo zaakceptowało potwierdzenie granicy, tak większość Polaków przesiedlenia Niemców do Republiki Federalnej. Po ustaleniu, że Prusy Wschodnie, Pomorze i Śląsk zostaną na przyszłość polskie, logika i humanitaryzm nakazywały, by pozwolić Niemcom na wyjazd do Niemiec, jeśli tego chcieli. Ale polskie kierownictwo broniło się przed tym, jak długo mogło. Wpierw zaprzeczało, że w ogóle jeszcze w Polsce są Niemcy. Potem zgłosiło gotowość zezwolenia na wyjazd „kilku dziesiątkom tysięcy” osób. Później, w lecie 1975 r. Gierek podpisał porozumienie, które przewidywało wysiedlenie 125 tys. osób. Przedłużenie tej umowy trwało lata. O prawach dla Niemców, którzy chcieli zostać w Polsce Warszawa nie chciała nic słyszeć aż do końca lat osiemdziesiątych. Dopiero nowe wybory komunalne w 1990 r. umożliwiły wybranie reprezentantów niemieckich grup narodowych.

Kto zna problematykę nawet powierzchownie, ten wie, że jest ona niewiarygodnie skomplikowana i po obu stronach zagłuszana przez uczucia. Po doświadczeniach lat trzydziestych poczucie narodowej godności nakazywało Polakom, by nie tolerować istnienia mniejszości niemieckiej. Tak, jak Niemcy, by przyjąć granicę na Odrze i Nysie, również Polacy potrzebowali dziesięcioleci, by przyznać, że mają jeszcze Niemców w kraju i że młodsze pokolenia tylko dlatego nie mówią po niemiecku, ponieważ nie wolno im się było uczyć tego języka. Podobnie jak uznanie granicy, także uznanie mniejszości niemieckiej byłoby możliwe wcześniej, zwłaszcza, że było ono mało znaczące. Nawet niechęć i małostkowość, którymi manipulowano przeważnie po obu stronach były do siebie bardzo podobne.

Przykre dla Niemców jak i dla Polaków, choć bardziej jednak dla Polaków, było powiązanie spraw finansowych z prawami człowieka. Warszawa oczekiwała po wejściu w życie Układu szeroko zakrojonej pomocy gospodarczej z Bonn, natomiast Bonn oczekiwało zezwolenia na wyjazdy na wielką skalę. Oczekiwania były usprawiedliwione, ale Warszawa jak i Bonn nie były w stanie wykonać pierwszego kroku. Wkrótce każda ze stron wykorzystwała swój atut: Warszawa — mniej wyjazdów, jeśli nie napłynie więcej pieniędzy; Bonn — mniej pieniędzy, jeśli nie będzie zezwalać się na więcej wyjazdów. Wszyscy uczestnicy, nawet większość dziennikarzy, ukrywali i upiększali przykry handel, ale każdy wiedział, że był to handel.

Schmidt i Gierek znaleźli kompromis w czasie długiej nocnej rozmowy w Helsinkach; po tym, kiedy jako pierwszy wizytę państwową złożył w 1976 r. przywódca Polski, droga dla nowych stosunków między Bonn i Warszawą zdawała się być otwarta. Przeszkadzały jednak nadal nie tylko niemiecki brak zainteresowania, lecz również polska nieustępliwość. Nie tylko Niemcy mieli swojego Hupkę i Czaję, mieli ich także Polacy i wydawało się, że ich siła była znacznie większa. Gdziekolwiek składano by w Polsce wizyty o charakterze oficjalnym lub półoficjalnym — wszędzie natrafiano na ich wątpliwości, troski i zastrzeżenia. Cokolwiek stawało się przedmiotem rokowań — zaczynało się polskimi podejrzeniami, obwinianiem i oskarżeniami. Wiele z nich było usprawiedliwionych, jednak wszystko odbiegało od proporcji, jeśli na podstawie każdego szczegółu wnioskowano o całości. To, co było tylko bezmyślnością lub głupotą, tylko czystym formalizmem lub zwykłą rutyną, uznawano zaraz za zły zamiar. Także zrozumienie dla traumatycznych doświadczeń, które Polacy mieli z Niemcami, nie mogło wciąż tłumić wrażenia, że niemiecki „rewanżyzm” służył niekiedy polskiemu kierownictwu jako narzędzie propagandowe. Istnienie niemieckiego zagrożenia usprawiedliwiała sojusz z Moskwą i tym samym panowanie partii. Każdego Polaka musiała nachodzić taka gorzka myśl, że Niemcy, którzy doprowadzili jego kraj do nieszczęścia, znowu stali się bogaci i grożą, że staną się potężni, a przecież słabości Polski nie da się zrekompensować ciągłymi oskarżeniami Niemców. Niemiecka wina jako wieczna podstawa stosunków niemiecko-polskich — w takiej sytuacji ani nie mogły rozwinąć się pomyślnie stosunki, ani nie mogło nastąpić opamiętanie Niemców. Gdzie posługiwanie się moralnością jako środkiem politycznym stało się podejrzane, trudno było ją głosić lub choćby tylko nawoływać do rozsądku. Również przyjaciółom Polski w dwóch ostatnich dziesięcioleciach nie było łatwo budzić zrozumienie dla Polaków. Niektórych z czasem opuściła cierpliwość.

Trudno było także pojąć sens europejskiej polityki Warszawy. Od czasu Rapackiego Polska miała w tej mierze dumne tradycje, a jej żywotne zainteresowanie odprężeniem łączyło ją od lat siedemdziesiątych z Bonn. Kiedy jednak w latach osiemdziesiątych także Honecker przyjął kurs na odprężenie, polskie kierownictwo stało się bardzo powściągliwe. Przez długie dziesięciolecia ubolewano, że NRD geograficznie jak i politycznie przeszkadza Polsce na drodze do Europy — zmiana polityki przez Berlin Wschodni także nie odpowiadała Polakom. Troska o to, że Niemcy Wschodni mogliby osiągnąć w Europie Zachodniej większe znaczenie niż Polacy i nawiązać współpracę z Niemcami Zachodnimi we wszystkich możliwych dziedzinach, pchała Warszawę w objęcia Moskwy. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych SED denuncjowała Polaków na Kremlu z powodu niebezpiecznej skłonności ku Zachodowi, teraz Polacy z tego samego

powodu denuncjowali NRD. Jedną z ważnych podstaw zachodnioniemiecko-polskiej współpracy została naruszona.

„Jak można być rozsądnym, jeśli jest się słabym” — powiedział usprawiedliwiając się czołowy polski polityk — ale przekonywujące byłoby raczej twierdzenie przeciwne: Kto jest słaby, musi być szczególnie rozsądny. Pomieszczenie niepewności i wyniosłości utrudniało Warszawie prowadzenie konsekwentnej polityki porozumienia z Bonn. Często słusznie odczuwano irytację z powodu niemieckiej zarozumiałości i niezgrabności, niekiedy nawet prowokację pod swoim adresem, ale również często samemu dawano powód do zakłopotania.

Czy wszystkie wysiłki były daremne? Czy Układ Warszawski, który mógł być podstawą normalizacji, rozminął się z celem? Odpowiedź wynika z kontrpytania: Gdzie znajdowałiby się Polacy i Niemcy dziś, gdyby nie mieli Układu? Jak przebyliby politycznie ostatnie dwadzieścia lat? Czy istniałyby w ogóle stosunki dyplomatyczne między Warszawą a Bonn? Czy mogłyby być zaspokojone wymagania konsularne i potrzeby praktyczne, które zostały w międzyczasie uregulowane w różnorodnych porozumieniach i układach? Czy byłoby możliwe legalne przesiedlenie Niemców do Republiki Federalnej? Czy wzrosłaby tak gwałtownie wymiana gospodarcza pomnożona od połowy lat siedemdziesiątych w czwórnasób? Czy zachodnioniemieckie banki dałyby na tak wielką skalę kredyty (na zbyt wielką skalę, jak już wiemy)? Decydującym było i jest nadal to, że w istocie wymiana gospodarcza określana została przez ustawy; tak długo jak politycy dostrzegali jej potrzebę, sprzyjali raczej jej zwiększeniu niż ograniczeniu.

Czy mogłyby rozwinąć się bez Układu Warszawskiego tak wiele formalnych, półformalnych i prywatnych więzi, że władze już pod koniec lat siedemdziesiątych traciły orientację? Wymiana między uniwersytetami, akademiami, instytutami, placówkami edukacyjnymi wszelkiego rodzaju, stosunki między organizacjami i związkami zawodowymi, występy gościnne teatrów i orkiestr, wystawy sztuk plastycznych i tłumaczenia z literatury (przypomnieć należy *Polen-Institut Karla Dedeciusa* w Darmstadt), a dalej współpraca i wymiana w radiu, filmie, telewizji, jak i stania licznych niemiecko-polskich towarzystw w Republice Federalnej — samo wyliczenie kontaktów kulturalnych zapełniło już w 1982 r. cały tom. Czy bez Układu Warszawskiego istniałoby tak dużo „dni polskich” i kontaktów partnerskich między miastami, czy na przykład zrobiłaby tak olbrzymie postępy praca komisji podręcznikowej? Czy ruch podróży wzrósłby w obu kierunkach, szczególnie podróże Ślązaków, Pomorzan i Wschodnioprusaków do ich dawnych stron ojczyстых? Czy mogłyby wykształcić się tak liczne przyjaźnie, które przetrwały i przetrwają także niepewne czasy?

Układ Warszawski miał jednak również wymiar europejski. Tak długo, jak Polacy i Niemcy mieli zatarg o swoją granicę utrudnione pozostawały wszystkie zabiegi o przewyżczenie podziału Wschód-Zachód. W jaki sposób jednoczyć miała się cała Europa, jeśli dwa ważne państwa w jej centrum odizolowały się od siebie? Niemiecko-polska zgoda jest przesłanką skutecznego funkcjonowania ogólnoeuropejskiej konferencji; KBWE jest z kolei przesłanką dla ugody, dzięki której Europa i zjednoczone Niemcy mają stanowić harmonijną całość.

Układ Warszawski był niezbędny dla Europy i dla stosunków między Niemcami Zachodnimi i Polakami. Stworzył on bazę, dzięki której stało się możliwe osiągnięcie tego, co przedtem było nieosiągalne lub tylko z trudnościami. W stosunkach między państwami mogło wydarzyć się więcej, natomiast w stosunkach między ich obywatelami wydarzyło się dużo więcej, niż sobie to uświadamiano. Więzy te już dawno stały się rzeczą powszednią. Z kontaktów, zobowiązań i przyjaźni powstała sieć, która nie rozerwała się również pod ciężarem politycznych obciążeń lat osiemdziesiątych. U góry toczą się spory o nazwy miejscowości, pieniądze, granice, na dole obcuja ze sobą ludzie. U góry mówi się o normalizacji, na dole normalizacja już panuje. Narody były i są także dziś dalej niż ich rządy — ale bez Układu nie byłoby to możliwe.

PROF. DR HORST EHMKE

Prof. prawa. Członek zarządu krajowego SPD w Badenii-Wirtembergii. Minister do zadań specjalnych, kierownik Urzędu Kanclerskiego w pierwszym gabinecie Willy Brandta (1969 - 1972). Autor szeregu prac z zakresu prawa i polityki.

I

Jaka zmiana zaszła od 1970 r., roku w którym parafowany został Układ Warszawski?! Wtedy istniała nadzieja przynajmniej na wyłamanie się ze skostniałych frontów „zimnej wojny”, dziś nastąpił ostateczny koniec „zimnej wojny”.

Wtedy strona niemiecka podjęła pierwszy znaczący krok do uznania *status quo* w Europie, a dziś nawet konserwatywny rząd Republiki Federalnej jest zmuszony zmienić bez zastrzeżeń zapatrywania na ostateczne uznanie polskiej granicy zachodniej.

Niegdyś ostre linie podziału konfliktu Wschód-Zachód dziś zaczynają się zacierać. To, co wspólne i łączące dla narodów europejskich, i to nie